

Pan Adam i Utopek

Słuchajcie, mości państwo, oto pieśnią was zabawię – o dzielnym rycerzu, Adamie z Tarnowic, i szpetnym Utopku znad Dramy okolic.

Był w owym czasie dzień wielkiego wesela, gdy to pan Adam, rycerz nad wsze miary, oczekiwał w swej warowni przybycia nadobnej Brunhildy, którą to pragnął poślubić. Zdjęty tęsknotą stał od rana w oknie, wypatrując swej lubej, aż w końcu dojrzał jej orszak zmierzający po trakcie. Słoneczny i piękny był ten dzień, toteż panna Brunhilda podróżowała w otwartym powozie, tak że wszyscy po drodze mogli podziwiać jej niebywałą urodę, słynną wszędzie na wschód od Odry. Pojazd ciągnęły dwa białe arabskie konie, zaś przed i za nim kroczyli zbrojni w błyszczących pancerzach, którzy chronić mieli pannę przed wszelkim złem – na darmo, jak wkrótce miało się okazać!

Gdy powóz wtoczył się na most zwodzony warowni pana Adama, Brunhilda zobaczyła swego miłego wyczekującego w oknie i powstała na chwilę ze swego siedziska, aby okazać się w pełnej krasie i pozdrowić go gestem delikatnej dłoni. Jak się serce w piersi pana Adama rozweseliło! A jak się wzburzyło, gdy wtem z fosy wyskoczyła czarna postać, ciemna jak sama noc nawet w świetle dnia, która w gnieniu oka rzuciła się na Brunhildę, porwała ją z powozu i zniknęła znów w wodzie po drugiej stronie mostu.

Wszyscy świadkowie tego nieszczęścia z miejsca pobledli. Wśród płaczu, okrzyków i zawodzeń słychać było ściszone szepty, powtarzające jedno tylko słowo – Utopek.

- Na rany Chrystusa! – zagrział w końcu pan Adam. – Zbyt długo cierpiałem obecność tego biesa na mej ziemi. Okulbaczyć mego rumaka! Przygotować mą zbroję! Raz na zawsze przegnam bestię z Tarnowic, a pomsta moja będzie sroga!

Utopek grasował po okolicznych lasach już od pewnego czasu, ale nigdy nie zdobył się na podobne zuchwalstwo. Dotychczas wyłącznie uprzykrzał życie chłopom, toteż pan Adam nie kwapił się z pogonieniem nikczemnika. Jednak teraz, gdy i jego dotknęły czarcie knowania, bezzwłocznie podjął się wyprawy przeciw niemu. Czym prędzej zjawił się na dziedzińcu w pełnym rynsztunku – w lśniącej zbroi, z kopią z zatkniętym pod grotem proporcem i z mieczem u boku – poprosił o błogosławieństwo ojca dominikanina, który miał go zaślubić z Brunhildą, dosiadł swego wiernego wierzchowca i pocwałował przez ów fatalny most zwodzony w kierunku mrocznej tarnowickiej puszczy. Tam, na rozlewisku Dramy, czaił się Utopek.

Gdy rycerz zbliżał się do ściany lasu, na swej drodze zobaczył starą kobietę w czarnym chłopskim ubraniu, jakby żałobnym. Spod nałożonego na jej głowę kaptura wymykały się długie pasma siwych włosów, zakrywających jak welon dwoje bystrych, sokolich oczu.

- Stój, panie rycerzu! – zawołała starucha, wznosząc prawą dłoń. – Zmierzasz oto ku własnej zgubie! Nie jesteś jeszcze gotów, by stawić czoła Utopkowi.

Pan Adam zgromił kobietę wzrokiem.

- Precz z mej drogi, jędzo! Wnuki ci niańczyć, a nie rozkazywać mężom idącym w bój. Po mej stronie Bóg, u mego boku miecz, a przede mną wspaniała bitwa – więcej mi nie trzeba. Jeśli nie ustąpisz, stratuję cię jako sługę owego biesa, którego wybrał się zgładzić.

Starucha przez chwilę ważyła jego słowa, po czym w milczeniu zeszła na skraj drogi i znów wzniosła prawicę, tym razem niemal zapraszająco, wskazując nią na las. Rycerz przejechał powoli obok, cały czas obserwując kobietę z nieufnością. Gdy ich spojrzenia się spotkały, ujrzał w jej oczach błysk.

- Módl się zatem do Boga – zaskrzeczała – aby jeszcze pozwolił ci tutaj wrócić.

Dreszcz przeszedł rycerzowi po plecach, toteż spał swego rumaka i w pośpiechu oddalił się od tajemniczej niewiasty. Wkrótce zostawił ją daleko z tyłu, aż w końcu jej widok przesłoniły drzewa.

Tak to pan Adam znalazł się pośród ciemnej i groźnej kniei, lecz słuszny gniew odpychał od niego wszelkie zwątpienie czy lęk w jej obliczu. A doprawdy straszne było to oblicze – choć dopiero co nastało południe, las jawił się jak w nocy, gdyż zbite listowie niemal nie dopuszczało ku ziemi światła. Grobową ciszę panującą wokół zaburzały jedynie szmery skradającego się zwierza czy sporadyczny skowyt jakiejś bestii, dobiegający z oddali, a w powietrzu czuć było dojmujący fetor próchna i rozkładu. Lecz jadąc przez tę puszcę, rycerz przypominał jakby samotny płomień, który rozpraszał jej mroki. Leśne moce i stwory czmychały czym prędzej do swych nor na widok jego oręża, złężnione dotychczas ptactwo pozwalało sobie na pieśń, z pewnością na jego cześć, a i słońce kierowało nań swe promienie, przebijające się przez zwarte korony prastarych drzew jak lanca przez pancerz.

Pan Adam nie wiedział wprawdzie, gdzie dokładnie ukrywa się Utopek, lecz w duchu czuł, że zbliża się doń, a przemawiał za tym stopniowo zmieniający się wygląd boru. Im bliżej do Dramy, tym bardziej okolica stawała się podmokła i tym wstrętniej cuchnęło powietrze – wydawało się nawet, jakby ciążyło ono nad ziemią plugawymi oparami, które przyprawiały otaczający krajobraz o zgniłozielony odcień.

Po jakimś czasie drzewa zaczęły się przerzedzać i rycerz wyjechał na mokradło powstałe niedaleko samej rzeki. Zdał sobie sprawę, że tu przyjdzie mu stoczyć bój – nie widział jeszcze swego wroga, ale czuł na sobie spojrzenie jego czarcich oczu. Stał się też pośrodku bagniska i zawołał donośnym głosem.

- Sługo diabła, który cię spłodził! Oto przybywam, by cię zgładzić za potwarz, którąś mi uczynił. Stańże do walki, tchórze i łotrze, i choć w jeden dzień swego żalostnego żywota wykaż się odwagą!

Jego wyzwanie niosło się echem pośród okolicy. Ledwo tylko ucichło, gdy za sobą usłyszał przypominający gulgot kpiący śmiech.

- Staję zatem, synu Adamowy!

Rycerz odwrócił się pośpiesznie i oto na drugim końcu trzęsawiska ujrzał Utopka. Cóż to była za maskara! Wyglądał jak człowiek wypaczony w jakimś perfidnym zwierciadle. Na dwóch pokracznych, krzywych nogach osadzone było beczkowate ciało z potężnymi ramionami i łbem jak u dzikiego zwierza. Od stóp do głów pokrywała go czarna szczecina, szorstka i twarda jak pancerz, a wszystkie łapy wieńczyły straszne pazury. Twarz jego, jeśli to wynaturzenie można tak zwać, wykrzywiał podły uśmiech utworzony z ostrych jak sztylety kłów, świecących pod kocimi wąsami i bulwiastym nosem, zaś pod przykrytym grzywą czołem gorzały pełne niegodziwego sprytu, paciorkowate ślepie.

- Strach cię obleciał, rycerzu? – fuknął Utopek. – Z taką brawurą pierw przybywasz na me włości, a teraz nic nie rzeczesz, nic nie czynisz? Zaiste przysługę wyświadczyłem twej damie, gdy ją zabrałem od takiego wałacha, jak ty.

Na takie dictum w panu Adamie wręcz się zagotowało. Odpowiedział jeno potężnym rykiem, od którego zatrzęsły się całe moczary, po czym spał konia, złożył kopię i natarł na biesa z impetem, w którym zawarła się cała jego straszliwa furia. Rumak pędził po bagnie jak błyskawica, tętent kopyt grzmiał jak burza, a lśniące ostrze broni zaraz miało powalić nieprzyjaciela z siłą gromu.

Lecz cóż to? Gdy tylko grot kopii miał przebić czarcie ciało, Utopek nagle jakby wsiąkł w podmokłą ziemię!

Rycerz ledwo wyhamował konia i cudem tylko nie zderzył się z drzewem. Wielce się dziwiąjąc, znów usłyszał za sobą szyderczy rechot.

- Szukasz-li mnie, kawalerze?

Odwróciwszy się, pan Adam ujrzał Utopka po drugiej stronie mokradła. Nie rozumiał, jak do tego doszło, ale zbyt był zaślepiiony przez gniew, aby tę sprawę roztrząsać. Spał więc znów swego rumaka i po raz kolejny zaszarżował na biesa, lecz z tym samym skutkiem.

Powtórzyło się to jeszcze dwa razy. W rycerzu narastała frustracja, jego wierzchowiec powoli dostawał już zadyszki, a Utopek tylko śmiał się coraz głośniejsze.

- Do kroćset! – zawołał w końcu pan Adam. – Przestańże uciekać i walczyć, nędzniku!

Na to bies przybrał złośliwą minę, po czym, machając drwiąco dłonią, zaszczebiotał:

- Toż stoję tu i czekam na ciebie, o waleczny panie! Zakończmy wreszcie to przedstawienie!

Jeszcze raz pan Adam pocwałował do boju. Czuł, że teraz mu się poszczęści, jednak niestety! Przyzwyczajony do rycerskich obyczajów nie wiedział, że czarci pomiot za grosz honoru nie ma!

Zbliżał się do Utopka z ogromnym pędem i już, już miał go ugodzić, kiedy ten znów zapadł się pod ziemię. Jednak tym razem z błyskawiczną szybkością wynurzył się zaraz za rycerzem i złapał jego konia za nogi. Pan Adam wystrzelił z siodła jak z katapulty i, frunąc majestatycznie w powietrzu, zobaczył jeszcze, jak bestia wciąga rumaka pod powierzchnię bagna, zanim wylądował z twarzą w kałuży błota.

Minęła dłuższa chwila, nim doszedł do siebie. Spróbował się podźwignąć, lecz okazało się to ponad jego siły. Wtedy to w kałuży, w której leżał, ujrzał wyszczerzony pysk Utopka.

- Niech ci to posłuży za naukę, rycerzu – zarechotał bies. – Tym razem puszczam cię wolno, abyś mógł wszystkim rozpowiedzieć o mojej sile, a swojej klęsce. Nie waz się wracać do mego domu, bo następnym razem nie będę tak łaskaw. A teraz, jeśli pozwolisz, zajmę się twą branką, gdyż nie godzi się zostawiać białogłowy bez nadzoru.

Następnie ryknął gromkim śmiechem, który przybierał tylko na sile, kiedy pan Adam próbował okładać kałużę pięściami. W końcu widziadło rozpułyło się wraz z kręgami wody, a na bagnie znów zapadła cisza.

Rycerz leżał jeszcze w mule przez pewien czas, nie dowierzając temu, co się stało. W końcu jednak powstał i zrezygnowany uszedł z mokradła, ciągnąc nogami i ociekając błotem. Teraz nie pędził przez las jak ten gorejący płomień, lecz przemykał się wśród cieni niczym jedno z żyjących tam zwierząt.

Gdy nareszcie udało mu się opuścić knieję, było już późno po południu. Sam nie wiedział, cóż teraz począć. Powlókł się zatem ścieżką prowadzącą do swej warowni i tak rozmyślał nad własną porażką, że nie zauważył nawet staruchy w czerni, siedzącej na pieńku obok drogi.

- Mówiłam ci, rycerzu, że marnie skończysz – rzuciła za nim kobieta.

Jej słowa wyrwały go z otępienia. Zatrzymał się w pół kroku i zwrócił ku niej.

- Ktoś ty w ogóle? – spytał niepewnie. – Czyś-li wiedźmą?

Starucha skrzywiła się, po czym odparła.

- Jeśli tak mnie postrzegasz, zaprawdę będę ci ja wiedźmą. Lecz tylko ode mnie dowiesz się, jak zgładzić możesz bestię.

Rycerz skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią pochmurnie.

- Twe czary od diabła pochodzą, starucho. Bożej pomocy mi szukać, nie czarcei.

Na to kobieta zaśmiała się z cicha.

- Czyż Chrystus nie uczy nas, że jeśli szatan wyrzuca szatana, to sam ze sobą jest skłócony i przez to się nie ostoii?

Pan Adam aż cofnął się o krok, jakby wiedźma uderzyła go młotem w pierś. Teraz jednak patrzył na nią z pewną ciekawością, a może i z zaufaniem.

- Słuchaj mnie dobrze, rycerzu – ciągnęła starucha. – Sam w swej walce zwycięstwa nie odniesiesz. Wystawiłeś poddanych na pastwę Utopka i dopiero, gdy ciebie dotknęły jego szpony, podjąłeś się czynu. I tak, jak oni własnymi staraniami bestii przegonić nie mogli, tak i tobie się to nie uda. Połączyć wasze siły musicie! Niech rycerska odwaga prowadzona przez mądrość ludu chłopską prostotą pobije czarta z bagien. Tylko tak Boży porządek zatryumfuje nad szatańskim nierzędem.

Powstawszy z pniaka, spojrziała na pana Adama i spytała:

- Wiesz-li, gdzie płynie źródółko młodości?

- Pierwsze słyszę – odparł rycerz.

- Udaj się na południe i za chłopskimi chatami wejdź w las. Gdy miniesz trzy czarne kamienie, szukaj drzewa z błękitnym mchem. Bacz, byś nie uległ grasującym tam skrzatom! Chwila nieuwagi i po wieczne czasy wciągną cię do swego podziemnego dworu. Za owym drzewem znajdziesz kotlinę w lesie, z której wypływa to cudowne źródło. Lecz niech Boska ręka cię strzeże przed picciem zeń, rycerzu! Twym celem tam będzie odnaleźć słowika, który ci pomoże zgładzić Utopka.

- Cóż to o jakimś słowiku mi rzeczesz, jędzo? Broń na czarta mi miałaś wyjawić, a nie swoje wieśniacze bajania.

Kobieta zgromiła go wzrokiem.

- Nikt ci nie każe słuchać, mości panie. Możesz wrócić do swej siedziby i wszystkim tam zgromadzonym opisać swą porażkę, a potem wyprawić posła do księcia, aby ci użyczył pomocy tam, gdzie ty zawiodłeś. Com rzekła, rzekłam. Bywaj zdrów.

Po tych słowach odwróciła się, aby odejść. Pan Adam patrzył za nią zmieszany, a nawet i zawstydzony, po czym rzucił jeszcze:

- Dlaczego mi pomagasz?

Wiedźma zatrzymała się i, stojąc ku niemu plecami, tak mu odparła.

- Nazywasz mnie „jędzą”, „staruchą”. Twierdzisz, że wnuki mi trza niańczyć. Tymczasem ja nawet dzieci nie mam, a w leciech wcalem nie dużo starsza od twej branki. Lecz los naznaczył me włosy siwizną, gdy Utopiek odebrał mi dziatki. Gdzież był wtedy rycerz, aby je ratować? Tego nie wiem. Acz teraz jest tu i dzięki niemu mogę oszczędzić kolejnym matkom mej niedoli.

Teraz zamilkła na dobre i bez kolejnego słowa odeszła od rycerza, aby w końcu zniknąć gdzieś w oddali.

Pan Adam długo ważył w sercu jej radę. Ostatecznie jednak zdecydował się za nią pójść, gdyż duma nie pozwalała mu wrócić jak nędzarz do swej warowni, nie ukończywszy powziętego przez siebie zadania. Udał się zatem na południe, rad znów ruszyć do dzieła i ciekaw, coż mu przyniesie ta nowa przygoda.

Jak kazała starucha, najpierw wszedł między chaty okolicznych chłopów, lecz nie opuścił ich, zanim nie zatrzymał się u pewnego gospodarza, którego poprosił o pachółków ze szczotami i piaskiem. Ci wkrótce doprowadzili jego zabłocony rynsztunek do stanu może nie całkiem godnego rycerza, ale i nie przyprawiającego o wstyd. Podziękował serdecznie gospodarzowi i obiecał mu się odplacić, jak tylko wróci szczęśliwie z wyprawy, po czym ruszył dalej w drogę.

Za siołem wkroczył znów do lasu. Tam z wielką uwagą wypatrywał opisanych mu znaków, starając się trzymać cały czas jednego kierunku i jednej drogi. Tu bór nie jawił się tak przytłaczający jak w okolicach nory Utopka. Wszystko tryskało życiem – zielone liście mieniły się w blasku słońca, po drzewach buszowały wiewiórki, a lekki wiatr kołysał gałęziami i szeptał wokół przyjemnym szumem. Pan Adam jednak miał się na baczności, bo dobrze wiedział, że w tak zachęcających okolicznościach łatwo było napotkać wilki, zbójców czy inne dziwy, o których lepiej nie wspominać.

Wkrótce natrafił na pierwszą ze wskazówek podanych mu przez wiedźmę. Na małej polanie znalazł krąg jałowej ziemi, jakby wypalonej, pośrodku której ułożone w trójkącie leżały trzy tajemnicze, czarne kamienie. Wolał się nie zastanawiać, skąd się tam wzięły oraz komu i do czego służyły, dlatego zaczął rozglądać się za owym drzewem z błękitnym mchem. I zaiste dostrzegł je nieopodal, wyraźnie widoczne na małym wzniesieniu, jakby ktoś celowo ustawił je tam, aby służyło za drogowskaz.

Pamiętając ostrzeżenia o żyjących tu leśnych ludach, pan Adam dobył miecza i ostrożnie podszedł do drzewa. Z bliska okazało się, że rosnący na nim mech nawet lekko świeci, więc nocą pewnie jarzył się jak latarnia. Rycerz postanowił zabrać ze sobą trochę tej dziwnej narośli, dlatego ściał z kory całą jej połąć i schował do sakwy. Następnie spojrzął jeszcze raz na trzy czarne kamienie, aby poprowadzić od nich linię prostą do drzewa, wzdłuż której mógłby pójść dalej. Gdy tak patrzył, mógł przysiąc, że widział coś małego acz człekokształtnego poruszającego się tam wśród chaszczki, więc zacisnął dłoń na broni i pospiesznie udał się w dalszą wędrowkę.

Od drzewa szedł już dłuższy czas i zaczął wątpić, czy na pewno obrał właściwą ścieżkę, kiedy przed sobą spostrzegł, jak ziemia opada w kształt leja. W kotlinie tej natomiast ujrzał skalny stożek, z którego tryskała bystra, czysta woda, uchodząca potem potokiem dalej w las wyżłobionym sobie po temu wąskim korytem.

Wiedząc, że oto znalazł źródło młodości, stanął przy nim i naszała go pokusa, aby się zeń napić, gdyż wypływająca stamtąd woda była niemal krystaliczna, a on po trudach dnia strasznie był spragniony. Już wyciągał ku niemu ręce, gdy z jednego z drzew dobiegł go śpiew słowika. Wtedy to opanował się i przypomniał sobie swój cel, jak również ostrzeżenie więdźmy, aby nie pił ze źródła. Potrząsnął głową, przeklinając pod nosem wszystkie zasadzki, czyhające w okolicy na szlachetnych męźów.

Wyteźzył słuch, aby wyśledzić słowika, którego miał tutaj znaleźć, i stwierdził, że świergot dochodzi z potężnego dębu rosnącego zaraz obok stożka. Wiedział, że wdrapać się nań nie będzie łatwo, jednak innego wyboru nie miał, toteź, nie tracąc czasu, zabrał się do dzieła.

Dość wyobrazić sobie jak bohaterskim wyczynem było wejść na takie drzewo w zbroi! Lecz z pana Adama, jak już rzekliźmy, był rycerz nad wsze miary, więc, sapiąc i dysząc, piął się ciągle w górę, choć ramiona mu drętwiały, płuca płuęły, a serce kołatało. Z każdą piędzią jednak coraz wyraźniej słyszał ptasi śpiew, a to wystarczyło, aby dodać mu sił.

Gdy głowa jego wynurzyła się z listowia blisko szczytu korony wielkiego drzewa, zastał przed sobą niebywały widok. Oto na grubym konarze siedział chłopiec ubrany po pastersku i spał w najlepsze, oparty plecami o pień. Zaś śpiew słowika, który słyszał pan Adam, okazał się być jego chrapaniem.

- Co do licha? – wydukał rycerz. – Nie jest-li to jeden z tych skrzatów?

A wtem jak się chłopczyna nagle przeląkł! Zbudził się zaraz i tak podskoczył, że niemal spadł ze swej gałęzi.

- Skrzaty?! Kajź to się chowają?! – zawołał w wielkim przestraczu.

Po chwili jednak spostrzegł, że to nie żadne mary go nachodzą, lecz zbrojny rycerz. Obaj patrzyli na siebie z równym zaskoczeniem.

- Witajcie, szlachetny panie! – rzekł w końcu pastuszek, ściągając czapkę z głowy. – Cóż was tu sprowadza?

Panu Adamowi z początku brakowało słów, tak osobliwe było to spotkanie. W końcu jednak odparł:

- Szukam słowika. Wydawało mi się, że usłyszałem go tu pośród drzew.

Na to chłopiec uśmiechnął się.

- Toście go znaleźli, panie! Oto jam jest Słowik!

Zdębiał wprost nasz rycerz, usłyszawszy tę odpowiedź.

- Żarty sobie ze mnie stroisz, obwiesiu? – warknął po chwili.

- Przebóg, nigdy w życiu!

- Milcz! I złaźże z tego drzewa, bo nie przystoi mi tu tak wisieć.

- Juź złazić? Ale dopiero com tu wszedł i nawet porządnej drzemki zech nie zdążył sobie uciąć. Nie możecie-li poczekać choć godzinki, panie?

Wzrok, którym zgromił go rycerz, musiał wystarczyć mu za odpowiedź. Wkrótce obaj stali znów na twardej ziemi.

- Zatem zowiesz się Słowikiem? – spytał pan Adam z niedowierzaniem.

- Tak, panie. Już gdy matula mnie porodziła, to w kołysce ponoć ptasim świergotem piałem. Stąd też imię takie mi nadała.

Rycerz zmierzył go od stóp do głów, zastanawiając się nad czymś.

- Pewna starucha mnie tu posłała w poszukiwaniu słowika – rzekł. – Miał mi on pomóc zgładzić Utopka znad Dramy. Acz jeśliś ty owym Słowikiem, jak mi się możesz przydać?

Skrzywił się na to chłopiec.

- Utopek! – zakrzyknął. – Od dziesiątków lat już marzę, aby ktoś tego biesa przegnał z naszych stron!

Spojrzał nań pan Adam spod oka.

- Młodzieńcze, chyba żeś musiał z tego dębu kiedyś upaść na głowę. Skąd możesz co wiedzieć o dziesiątkach lat?

Zaśmiał się na to Słowik.

- Oczy was zwodzą, panie, lecz zrozumiałe to! Otóż od dziecka przychodzę tu nad to źródło i zeń piję, toteż i młodość wieczną zachowałem, przynajmniej powierzchowną. Uwierzycie, że na karku już mam niemal sto wiosen? Lecz cóż to za życie, gdy związane już na zawsze z tym potokiem? Jeśli choć dzień wody nie skosztuję, rychło umrę.

Wzdrygnął się pan Adam, znowu przypominając sobie ostrzeżenie wiedźmy.

- Pytacie, panie – ciągnął Słowik – jak się wam mogę przydać. Otóż mogę was zaprowadzić prosto do jamy biesa.

- Skąd wiesz, gdzie ona jest?

- Utopek dręczy nas już długi czas, panie, stąd też poznaliśmy wiele z jego niecnych obyczajów. Wiemy, gdzie mieszka, czym się para i jak żeruje na Bogu ducha winnych ludziach. Lecz nikt jeszcze nie miał odwagi, aby go z jego jamy przepędzić. Do tego potrzeba rycerskiego męstwa.

- Twierdzisz, że tak dobrze znacie bestię. Powiedz mi zatem, w jaki sposób was ona prześladowuje?

- Mości panie, wszyscy po wsiach wiedzą, że Utopek dzieci porywa, by sobie z nich ucztę robić. Czort to prastary, od wieków pojawia się, gdzie go jego nikczemna natura powiedzie, i dopiero jak już sobie żerowisko wyczerpie, to wtedy uchodzi gdzie indziej, na drugi koniec świata.

- A jednak on porwał mi brankę, a nie żadne dziecię!

Słowik wzruszył ramionami.

- Może stwierdził, że panna młoda też się nada.

Pan Adam aż zazgrzytał zębami na myśl o podobnej bezczelności.

- Dobrze więc! – stwierdził po chwili. – Nie warto tracić czasu, wyruszajmy natychmiast przeciw bestii. Kierujemy się na bagna, jak mniemam?

- Nie, panie – potrząsnął głową Słowik. – Jama Utopka zaraz nad samą Dramą. Jest tam zatopiona pieczara, w której gnieździ się bies, a musicie wiedzieć, że jego rodzaj jest okrutnie zaborczy. Jeśli tam po niego pójdziecie, nie będzie miał dokąd uciekać, bo inne miejsca już przywłaszczyły sobie podobne diabły, które przepędzą go na sam widok. Dlatego swego leża będzie bronił do upadłego, jak szczur przyparty do muru.

- Mądrze prawisz. Chodźmy zatem!

Jak ustalili, tak poszli, rycerz i pastuszek na tropie biesa. Udali się szerokim łukiem wokół puszczy, gdzie panował Utopek, aby nie zdradzić przypadkiem swej obecności, gdyż bestia na pewno nie spodziewała się znowu ujrzeć pana Adama tego samego dnia. Tymczasem nad okolicą powoli zapadał już wieczór.

Gdy dotarli do Dramy, skierowali się w górę jej biegu. Śledzili rzekę jakiś czas, aż doszli do miejsca, w którym dwie jej odnogi łączyły się w jedno. Idący na przód Słowik polecił odbić w bok i pójść wzdłuż mniejszego dopływu, zaś po krótkim marszu zwolnił, przysiadł

ostrożnie za bujnym sitowiem i gestem poprosił rycerza, aby się zbliżył. Gdy obaj siedzieli już schowani za zaroślami, chłopiec wskazał na znajdujące się przed nimi rozlewisko.

- Jesteśmy na miejscu, panie. Jeśli spojrzycie dalej, w kierunku tego wału ziemnego...

Powiódł dłonią w prawo, gdzie ziemia wybrzuszała się na kształt kopca. Tam dojrzeć można było pieczarę, wpół skrytą za zwieszającymi się z góry korzeniami i uschłymi gałęziami. Z niej to wypływała woda, która podtapiała całą okolicę.

- Tutaj znajdziecie Utopka – zakończył Słowik.

Pan Adam rozejrzał się, aby sprawdzić, czy wokół wejścia do jamy bestii na pewno jest bezpiecznie. I wtedy to wpadł na pewien pomysł.

- Czekaj, no, chłopcze. Na uczciwy bój nie mamy co liczyć, dlatego spróbujemy pobić biesa jego własną bronią. Widzisz tę wierzbę, pochyloną nad wejściem do pieczary? Tam zastawimy nań pułapkę.

- W jakiż to sposób?

- Bardzo prosty. Niegodziwiec na pewno chętnie połakomi się na takiego młodzieńca, jak ty, zatem posłużysz nam za przynętę. Wejdziesz na tę wierzbę, a ty staniesz pod nią i wywabisz Utopka z jamy. Wtedy przez zaskoczenie weźmiemy hultaja i tym razem żadnymi podstępami nam się nie wywinie!

Słowik przełknął głośno ślinę.

- Bardzo zmyślna to zasadzka. Ale...

- Zuch chłopak! – rycerz klepnął młodzieńca w ramię. – Bierzmy się zatem do dzieła!

Pastuszek westchnął, gdyż wiedział, że teraz nie ma odwrotu. Zresztą swoje już się nażył, toteż z lżejszym sercem przyszło mu podjąć to straszliwe ryzyko.

Poczynili zatem przygotowania do konfrontacji z Utopkiem. Pan Adam wspiał się na wierzbę, sapiąc znów i dysząc, i zastanawiając się, kiedy ostatni raz tyle łąził po drzewach – chyba za czasów pacholących. Gdy odpoczął chwilę, dał znać Słowikowi, aby ustawił się przed pieczarą. Ten wyszedł zza sitowia z pewnym wahaniem, jakby jeszcze ważył, czy nie lepiej dać nogę, ale w końcu przemógł się i stanął pod wierzbą. Teraz już wszystko w rękach Bożych!

Stojąc po kolana w wodzie, Słowik zwrócił się plecami w kierunku pieczary. Zaczął wtedy śpiewać swoim słodkim głosem i obmywać sobie nogi, jakby nigdy nic. Wtem woda za nim spieniła się lekko, pierw niemal niedostrzegalnie, aż w końcu pojawił tam się wir, z którego wychynął oto sam Utopek, niczym z morskich głębin! Obnażył swe potworne kły w zdradzieckim uśmiechu, po czym mruknął:

- Zabłądziłeś-li, gołabeczku?

Na to obrócił się ku niemu Słowik. Pierw ogarnęła go groza, lecz zebrał się w sobie, aby coś bestii odrzec. A słowa, które opuściły jego usta, huknęły nie pięknym ptasim głosem, lecz szorstkim rykiem, którego nie powstydzilby się nawet najbardziej grubiański i zapijaczony młynarz.

- Łapy precz, giździe pieroński, bo jak ci przyfandzola...!

Zaprawdę nie takiej odpowiedzi spodziewał się bies, toteż stanął przed młodzieńcem jak skamieniały, nie bardzo pewny, co dalej począć. W jeszcze większe osłupienie jednak wprawił go okrzyk bojowy, który rozległ się nad jego głową.

- Ave Maria! – zawołał pan Adam, rzucając się na Utopka.

Stwór nie miał nawet czasu spojrzeć w górę, a już rycerz zwałił się nań, wbił go w muł i pochwycił w żelaznym uścisku, który wy dobył z ust diabła skowyt straszliwego bólu. Miała ta bestia jednak nadludzką siłę i nawet w tak niekorzystnym dla siebie pojedynku potrafiła jeszcze szarpać się z napastnikiem i rzucać na wszystkie strony jak wściekła żmija, tak że obaj zapaśnicy przewalali się tam i z powrotem po korycie rzeki, rozpryskując wszędzie wokół wielkie rozbrzgi wody.

Pomimo wszystkich swych starań widział jednak Utopek, że walka jest przegrana. Zostało mu zatem jedynie salwować się ucieczką za pomocą swych czarcich mocy. Dlatego,

jak wiele razy wcześniej, zaczął nagle wnikać w zatopioną ziemię, aby spróbować wyłonić się w innym, bezpiecznym miejscu. Lecz jakie było jego zaskoczenie, gdy zobaczył, że pan Adam, przejęty wielkim zapałem, wcale nie ma zamiaru go puszczać. Wkrótce ogarnął ich mrok, po czym z diabelską szybkością zaczęli przedzierać się przez warstwy gruntu i litych skał, które nie stawiały żadnego oporu ich podróży w ziemskie czeluści. W końcu jednak gdzieś wychynęli, bo choć wszystko wciąż spowijała ciemność, to rycerz czuł, że znowu brodzą w wodzie i już nie okala ich ziemia. Dalej w objęciach trzymał Utopka, toteż nie pozwolił sobie ani na chwilę wytchnienia i postanowił zakończyć walkę tu i teraz.

Rozkraczywszy się na biesie, zaczął go tłuc pięściami po pysku.

- Gadaj, psubracie! – huczał. – Gdzieś ukrył nadobną Brunhildę?!

- Łaski, panie! – jęczał stwór w przerwach między ciosami. – Wszystko wam powiem!

- Ale już! – rozkazał pan Adam, chwytając go za gardziel.

- W jaskini na prawo, dobry panie! Tam swą brankę znajdziecie, nawet sam was do niej zaprowadzę!

Rycerz trzymał go wciąż i ważył jego słowa. Po chwili wstał, podniósł czarta na równe nogi, po czym dobył miecza i przystawił mu do piersi.

- Pójdźmy zatem, łotrze. Niech ci żadne sztuczki do głowy nie przyjdą, bo cię przeszyję na wylot. I nie myśl sobie, że ślepy w tych ciemnościach.

Wtedy z sakwy wyciągnął połać owego błękitnego mchu, który tu, pod ziemią, świecił wcale nie gorzej niż pochodnia. Zobaczył wtedy pan Adam, że znajdują się w małej zalanej jaskini, z której odchodziło kilka tuneli. Zapewne Utopek w swej nieudanej ucieczce przeniósł ich do swego leża.

Uwagę rycerza zwróciło też, jak czart wije się desperacko, aby uniknąć dotyku jego miecza.

- Cóż to, hultaju, tak cię moja broń przeraża? Wytłumacz się natychmiast!

Z początku nie uzyskał odpowiedzi, ale wystarczyło dziabnąć kilka razy ciało Utopka, aby rozwiązać mu język. Na każde ukłucie stwór reagował jak na przypiekanie żywym ogniem.

- Zdzierzyć nie mogę dzieł rąk ludzkich – syknął. – Szczególnie żelazo wasze napawa mnie wstrętem.

- Czyżby? Dlatego więc porywasz zbłąkane dusze, z dala od domostw?

- Zaiste, właśnie tak jest. A teraz błagam, panie, zabierzcie ode mnie oręż!

- Pomyślę o tym, gdy zobaczę mą lubą. Prowadź do niej, bo nie ręczę za siebie!

Skierowali się zatem ku wskazanej przez biesa pieczarze. Rycerz nie odstępował go ani na krok, cały czas trzymając sztych miecza przy jego plecach. Po chwili wkroczyli do większej groty, w której bestia najwyraźniej więziła swoje ofiary, gdyż pan Adam zobaczył tam nie tylko swą oblubienicę, siedzącą całą i zdrową na kamieniu wystającym ponad wodę, ale i swojego wiernego rumaka. Jakież szczęście wypełniło rycerskie serce! Natychmiast zapomniał o Utopku i ruszył czym prędzej do swej ukochanej, chowając w biegu miecz.

- Miła przyjaciółko! – zawołał, biorąc ją za rękę. – Oto przybywam na twój ratunek!

Panna zadarła jednak nos.

- Trzeba przyznać – odrzekła jakby od niechcienia – że trochę ci to zajęło, mój panie. Niemniej wdzięcznam ci za ten gest i rada ci się zań odpłacę. Opuśćmy jednak pierw tę szpetną norę, bo nie służy mi panująca tu wilgoć.

Zaprawdę, panna Brunhilda nawet w najcięższej opresji nie zapomniała o swej godności!

Już ją pan Adam chciał wziąć na ramiona, aby trzewiczków nie zamoczyła we wszechobecnej wodzie, lecz wtem ujrzał jak przez niewieście lico przechodzi wyraz przestachu. Nim Brunhilda zdążyła ostrzec swego lubego, on błyskawicznie dobył miecza, odwrócił się i spojrzał prosto w gorejące ślepie Utopka, który ostatnim podstępem chciał jeszcze zatopić pazury w plecach rycerza. Pan Adam uderzył niemal na oślep, więc ostrze nie zagłębiło się w ciele czarta, jedynie smagnęło jego bok. Jednak dotyk zimnej stali na nagiej

skórze wystarczył, aby Utopek zawył z bólu, cofnął się i, rzucając na rycerza ostatnie nienawistne spojrzenie, pierzchnął pośpiesznie z jaskini.

- Precz z mych oczu, szelmo! – krzyknął za nim pan Adam. – Dziś skończyło się na płazowaniu; następnym razem skrócę cię o głowę!

Przekonany, że bies już nie wróci, rycerz schował znów swój miecz, ściągnął swą brankę z kamienia i zagwizdał na konia, aby za nim poszedł, po czym udał się poszukać wyjścia z podziemi, oświetlając sobie drogę cudownym mchem. Nie było to trudne, gdyż wystarczyło iść z biegiem wody, dlatego wkrótce cała trójka dotarła z powrotem na powierzchnię, gdzie zapadła już noc, rozświetlona przez księżyc i gwiazdy na niebie. U wylotu jamy zaś oczekiwali ich nie tylko Słowik, ale i wiedźma, co wprawiło rycerza w nie lada zaskoczenie.

- Wiwat pan Adam! – wykrzyknął z ulgą pastuszek. – O tym dniu poeci układać będą pieśni!

Gdy tylko rycerz pozwolił swej lubej stanąć na suchej ziemi i pogładził dzielnego wierzchowca po grzywie, wskazał dłonią najpierw chłopca, potem staruchę, po czym zawołał:

- Zaprawdę, dziś wszystko, co było rozerwane, niech zostanie połączone. Niewiasto, weź tego młodzieńca za syna i wychowaj na mężczyznę. Chłopcze, słuchaj mądrości swej nowej matki, a wiem, że nie przyniesiesz jej wstydu.

Kobieta splotła dłonie i uśmiechnęła się lekko, spuszczać wzrok.

- Za ten dar będę ci dozgonnie wdzięczna, panie. Przeczuwałam, że wasza wyprawa zakończy się zwycięsko, dlatego wybrałam się tu, aby być tego świadkiem, ale na mą duszę, takiej łaski się nie spodziewałam.

Następnie podniosła głowę, a w jej oku zajaśniał błysk.

- Zresztą pomysł pewien też mam, jak z młodziana zdjąć czar źródła.

Z początku Słowik tylko zmieszał się, gdy usłyszał wyrok rycerza, lecz teraz słowa wiedźmy wprawiły go wprost w osłupienie. Sama nadzieja na ratunek zdjęła mu z barków ogromny ciężar.

Tymczasem rycerz machnął ręką.

- Niestety zwycięstwo moje niepełne – odparł. – Sam Utopek uszedł ostatecznie mej zemście, choć podejrzewam, że po takiej nauczce długo nie wyściubi nosa ze swego leża. Ale tym będziemy się martwić później. Zapraszam was do mej warowni, gdzie podjąć nam należy przerwane wesele.

Tak też wrócili na dwór pana Adama, gdzie samo ich przybycie wywołało wielką radość. Uroczystości na cześć rycerza i jego nowej żony było co niemiara, a wkrótce szczęście zawitało też do okolicznych wsi, gdy tylko dotarły tam opowieści o jego zwycięskiej wyprawie i pobiciu parszywego Utopka.

Lecz zdawał sobie pan Adam sprawę, że zagrożenie nie zostało jeszcze w pełni zażegnane. Dlatego gdy tylko życie w Tarnowicach wróciło do swego codziennego biegu, kazał postawić na wejściu do jamy biesa potężną, murowaną bramę z solidną kratą, aby za żelazem po wsze czasy uwięzić już diabła w środku. Ku przestrodze polecił też wyrzeźbić w niej maskarony z obliczem tej straszliwej bestii.

Brama ta stoi tam do dziś. Wprawdzie potomni dawno już zapomnieli, po co została wzniesiona, ale pradawne wspomnienie czarciego zła wciąż tkwi głęboko w ich duszy, więc nie szczędzą wysiłków, aby utrzymać ją w należytym stanie, nawet jeśli do końca nie potrafią powiedzieć czemu. Przez wieki zmieniała ona swój kształt – tu trzeba było ją połatać, tam wymienić samą kratę przy wejściu, w końcu nawet rozebrano ją całkowicie i odbudowano na nowo – lecz maskarony z pyskiem Utopka wciąż patrzą tam na każdego przybysza z wyrazem gniewu i niczemności, zaś sama brama pozostaje wiecznie zamknięta. I to bynajmniej nie po to, aby nikt tam nie wchodził.